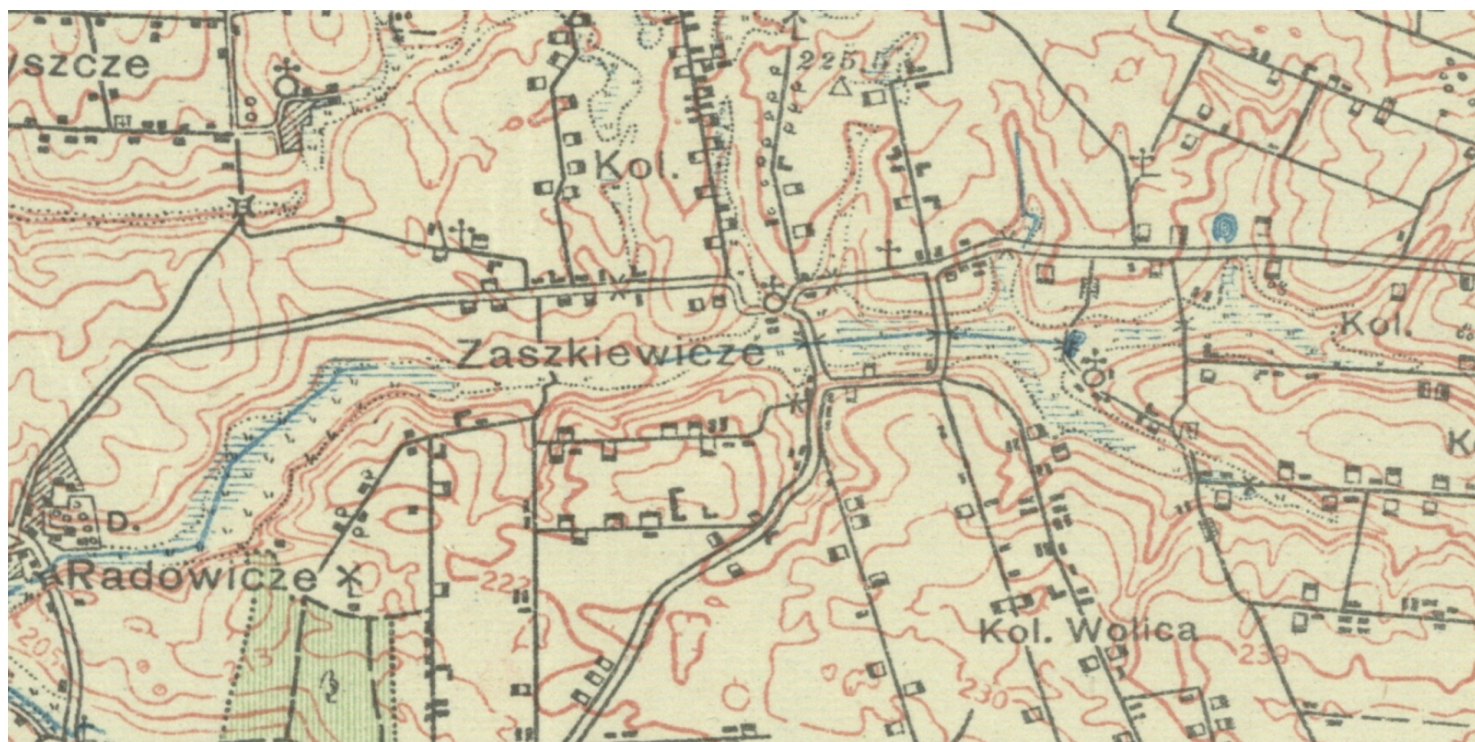


Przystanek historia

<https://przystanekhistoria.pl/pa2/teksty/127039,Ocaleni-z-ludobojstwa-Relacja-Danuty-Chamielec.html>



Zaskiewicze Nowe we fragmencie mapy WIG, 1926 r. (z zasobu Biblioteki Narodowej)

WSPOMNIENIE

Ocaleni z ludobójstwa. Relacja Danuty Chamielec

OKRES HISTORYCZNY

(1939-1945) II wojna światowa

20.07.2026

Danuta Chamielec z d. Żmudzka wraca pamięcią do ukraińskich zbrodni popełnionych w lipcu 1943 r. m.in. w Porycku i Zaskiewiczach, pow. włodzimierski, woj. wołyńskie. Relacja została zapisana w 2016 r.

Urodziłam się 4 stycznia 1934 r. we wsi Zaskiewiczze Nowe, gmina Poryck, powiat Włodzimierz Wołyński. Rodzicami moimi byli: ojciec Jan Żmudzki i matka Władysława z domu Palinko. Miałam trzech braci: Remigiusza, Zygmunta i Edmunda, oraz młodszą siostrzyczkę Mircię. Mieszkała z nami również babcia Marianna, matka mojego ojca. Ojciec miał nieduże gospodarstwo rolne, oprócz pola ornego mieliśmy kawałek lasu, łąkę, duży sad owocowy i dużo wiśni, którymi obsadzona była droga.

Moi bracia, najstarszy Remigiusz i najmłodszy Edmund, kształcili się we Włodzimierzu Wołyńskim, a średni brat Zygmunt pomagał ojcu w gospodarstwie. W naszej wiosce większość stanowili Ukraińcy, byliśmy jedną z trzech rodzin narodowości polskiej. Byliśmy spokojną, kochającą się rodziną. Moi rodzice byli ludźmi życzliwymi, żyjącymi w zgodzie z sąsiadami, nigdy nie odmawiali pomocy czy dobrej rady, darzyli ich dużym szacunkiem.



**Danusia Żmudzka (następnie
Chamielec) wraz z kuzynką Alinką
Palinko (fot. z zasobu AIPN)**



Rodzina Żmudzkich z Zaszkiewicz

Nowych, gm. Poryck, 1938/39 r.

Stoją od prawej: Danusia (ur. 1934 r.), Remigiusz (ur. 1922 r.), Zygmunt (ur. 1924 r.) i Edmund (ur. 1926 r.). Siedzą od lewej: Władysława z małą Mirosławą (ur. 1937 r.) i Jan (fot. z zasobu AIPN)

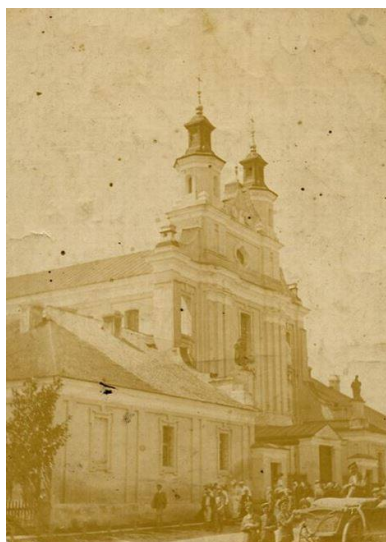
Dzień ten był ostatnim dniem mojego dzieciństwa

Kiedy 1 września 1939 r. wybuchła wojna, miałam pięć lat. Niemcy byli u nas krótko, bo od 17 września wschodnie tereny Polski zajęły wojska sowieckie. Wtedy nasze warunki życia bardzo się pogorszyły. Na nasze gospodarstwo nałożone zostały różne bardzo duże kontyngenty. Nigdzie nie można było kupić takich artykułów, jak sól, cukier, kawa, herbata, nafta, mydło czy odzież. Rozpoczęły się aresztowania i wysyłki Polaków na Syberię. Szczęściem mieliśmy o pół hektara ziemi za mało, aby nas uznać za „kułaków” i to nas uratowało od zsyłki na Syberię. W 1941 r. po napaści Niemców na Rosję dostaliśmy się pod okupację niemiecką. [...] W niedzielę 11 lipca 1943 r. moja mama, brat Edmund i ja poszliśmy do kościoła w Porycku na sumę. [...] Miałam wtedy dziewięć lat i dzień ten był ostatnim dniem mojego dzieciństwa.

Ledwie msza się zaczęła, kościół okrążyli Ukraińcy i zaczęli zabijać zgromadzonych ludzi, wrzucając granaty i strzelając z karabinów maszynowych. Ludzie szukali osłony przed kulami, ale wewnątrz kościoła nie miało

żadnych miejsc, za którymi można było się schronić. Ktoś zaintonował Pod Twą obronę czy podobną pieśń, została podchwycona przez innych, ale tylko na krótko. Ksiądz zaczął rozdawać Komunię Świętą. Przy głównym ołtarzu zgromadziło się dużo ludzi i to w ich kierunku najgęściej leciały kule.

Wkrótce leżeli zabici jedni na drugich. Zobaczyłam przerażający widok, jak mały chłopiec rękoma zbroczonymi krwią starał się wepchnąć do brzucha wylewające się jelita. Jako jedna z pierwszych została zabita moja ciocia Tekla Humiczewska, leżała blisko nas. Przy niej rzewnie płakała jej córeczka Elżunia, ale ojciec szybko odciągnął ją od matki. Leżałyśmy z mamą na posadzce, wraz z kilkunastoma innymi ludźmi po prawej stronie kościoła, w pobliżu chóru. Zauważyli nas i w naszą stronę rzucili dwa granaty. Kilka osób zostało zabitych, kilka rannych, między innymi bardzo ciężko ranna została ciotka mojej mamy, Aniela Humiczewska. Nam nic się nie stało, strząsnęłyśmy tylko z siebie gruz.



Kościół pw. Św. Trójcy i św.

Michała Archanioła w Porycku

(fot. [Wikimedia Commons](#),

Pawello2482, CC BY-SA 4.0)

Moja mama uznała, że dobrze by było przedostać się do wnęki znajdującej się po tej samej stronie, odsunąć ruchomą, drewnianą osłonę i tam znaleźć schronienie. Tam przed Wielkanocą ubierany był grób Pana Jezusa. Wnęką tą znajdowała się daleko od miejsca, gdzie byliśmy, była bliżej głównego ołtarza. Mocno zgięte przesunęłyśmy się pod ścianą, częściowo osłonięte przez ławki i szczęśliwie dotarłyśmy na miejsce niezauważone przez napastników. Mama odciągnęła drewnianą osłonę, sama już wsunęła się do środka, a ja wchodząc, poczułam ciepło spływające mi po plecach. Jak znalazłyśmy się we wnęce, mama zasunęła osłonę, pozostawiając małą szparę, aby umożliwić dostęp powietrza. Od tej chwili nic już nie widziałyśmy, ale

słyszaliśmy, co się dzieje w kościele. Strzały dalej nie ustawały, słyszaliśmy jęki rannych i rżenia konających. Później usłyszaliśmy hałas wchodzących do środka napastników i odgłosy, jakby coś robili przy głównym ołtarzu. Nastąpiła cisza, a za chwilę poczułyśmy dym, coś zaczęło się palić. Pożar zaczął przybierać na sile i wtedy usłyszaliśmy głos księdza, który wołał „Ludzie, jeśli ktoś żyje, odsuńcie mnie od ognia, nie pozwólcie, abym żywcem się spalił!”.

Posłyszaliśmy szybkie kroki, ktoś biegł, a później pojawił się odgłos przesuwania. Tymczasem dymu robiło się coraz więcej, coraz trudniej było oddychać, oczy piekły i zachodziły łzami, a w powietrzu rozszedł się dziwny, bardzo nieprzyjemny swąd. Mama odsunęła osłonę i wyszłyśmy z ukrycia. Tuż przy naszej skrytce leżała zabita nasza znajoma Toporkowa z raną na czole. Szła za mną i to jej krew oblała tył mojego płaszczyka. [...] Z trudem doszłyśmy w pobliże drzwi wejściowych, omijając zabitych i kałuże krzepnącej krwi.

Tam zastałyśmy kilkanaście osób leżących na posadzce, był też mój brat Edmund, który z kilkoma innymi ludźmi schronił się w krypcie kościoła. Odbyła się krótka narada i ktoś poddał myśl, aby wszyscy naraz wybiegli, to może ktoś ocaleje. Dwoje ludzi się poderwało, ale jak tylko wychylili się z kościoła, padła seria z karabinu maszynowego, oni upadli i już się nie podnieśli. Też zaczęłam podnosić się razem z innymi, ale mój brat Edzio błyskawicznie chwycił mnie za nogi i odciągnął do tyłu. W tej samej chwili nastąpił ogłuszający huk i owionął nas pęd powietrza. To eksplodował potężny ładunek wybuchowy podłożony przez Ukraińców. Wypadły wszystkie szyby w oknach, w dachu kościoła powstała wielka dziura, dym znalazł ujście, a my odetchnęliśmy czystym powietrzem. Ogień częściowo przygasł. Szybko wszyscy wróciliśmy do swoich miejsc ukrycia. Napastnicy zajrzeli do kościoła, bo słyszaliśmy ich głosy, a po sygnale przeciągłym gwizdkiem odjechali. Wkrótce do kościoła zaczęli przychodzić mieszkańcy Porycka. Szukali wśród zabitych i rannych swoich krewnych, a wtedy wyszłyśmy z mamą z ukrycia.

Przy drzwiach leżał ksiądz bardzo blady i trzęsący się z zimna z powodu upływu krwi, bo był kilkakrotnie ranny. Mama zdjęła z jakiegoś trupa płaszcz i otuliła nim księdza. Chciał też bardzo pić, ktoś mu podał wodę z kropielnicy. Jak mnie zobaczył, powiedział „O, Danusia, ty żyjesz”, jakby się ucieszył. Znał mnie, bo dwa tygodnie wcześniej przystępowałam do Pierwszej Komunii Świętej. Mama wołała brata Edzia, ale jego nie było. Wyszłyśmy z mamą przed kościół. Cały plac zastany był leżącymi w różnych pozach trupami, a najbardziej przeraził mnie widok kobiety przewieszzonej na żelaznym ogrodzeniu. Przeszłyśmy bezpiecznie przez dwie ulice Porycka i weszłyśmy do domu stryja mojej mamy (kościelny kościół w Porycku, Palinko) w nadziei dostania czegoś do jedzenia, ale jego żona wszystko pochowała w piwnicy, więc odeszłyśmy bez niczego. Na tyłach jego domu był sad i po wyjściu z sadu ukryłyśmy się w najbliższym znajdującym się poletku pszenicy. Pod wieczór usłyszaliśmy krzyki i jęki mordowanych przez Ukraińców Polaków mieszkających w pobliskich domach oraz śmiechy oprawców.

W ukryciu

Spędziłyśmy w tym zbożu całą noc i cały następny dzień. W ciągu dnia przeżyłyśmy chwilę strachu – wypędzona na pastwisko krowa zapędziła się w naszą stronę i chyba nas się przestraszyła, bo uskoczyła w

bok, ale pastuch, Ukrainiec, nie zauważył nas. Próbowaliśmy jeść ziarenka pszenicy, ale nie były jeszcze dojrzałe.

Z nadejściem nocy z poniedziałku na wtorek wyszliśmy z ukrycia i łąką, wzdłuż toru kolejki wąskotorowej, ruszyliśmy z myślą dotarcia do domu w Zaskiwiczach. Kiedy z dala widziałyśmy jakieś krzaki, ogarniał nas wielki strach, czy to nie czyhający Ukrainiec. Wyszliśmy na pole i omijając wieś Kłopotczyn dotarliśmy do drogi prowadzącej do Zaskiwicz. Omijając wieś, poszliśmy najpierw skrajem lasu i później polem w pobliżu naszego gospodarstwa. Znow ukryliśmy się, tym razem już w naszym zbożu w pobliżu domu. Jak tylko zaczęło świtać, zorientowałyśmy się po dochodzących do nas kłótniach, że nasi sąsiedzi Ukraińcy dokonują rabunku naszego mienia. A wcześniej jeszcze słyszałyśmy żalosne wycie naszego psa Rekxa. Przez cały dzień moja mama zastanawiała się, do kogo z Ukraińców możemy się udać. Wybrała najbliższych sąsiadów mieszkających po drugiej stronie drogi. Pewna była sąsiadek, Ołeny i jej córki Nataszy, ale miała obawy co do męża Nataszy, Iwana Sagana, którego krótko знаła. Nie mogłyśmy już dłużej chować się w zbożu, bo mama chciała dowiedzieć się o losie naszych bliskich, ale i dlatego że byłyśmy bardzo głodne i bardzo chciało nam się pić. Naszym ostatnim posiłkiem było śniadanie w niedzielę rano. W nocy z wtorku na środę wyszliśmy ostrożnie z ukrycia, podeszliśmy na tyły domu Ołeny i mama zastukała do okna. Do okna podeszła Natasza i jak nas poznała, uchyliła je i powiedziała, że u nich ukryty jest Edzio, a wszyscy pozostali nasi najbliżsi, którzy w niedzielę pozostali w domu, nie żyją.

Dostałam do wypicia kubek mleka. Miałam wyschnięte i popękane usta, byłam bardzo spragniona, do dzisiaj jeszcze czuję smak tego mleka – było przepyszne. Mąż Nataszki – Wańka zaprowadził nas do stodoły, a sam zabrał się do poszerzania kryjówek, w której przebywał mój brat. Natomiast Nataszka ugotowała nam krupniku. Następnie w pośpiechu, bo zbliżał się ranek, Wańka zaprowadził nas do obory, pomógł wspiąć się na stryszek i tam spotkałyśmy się z Edziem. Był bardzo chory, zrozpaczony, zrezygnowany, myślał nawet o wyjściu z ukrycia, aby go zabili. I nic dziwnego, bo on słyszał jęki mordowanej rodziny, aż zemdłał i później ich zobaczył. Chęci do życia nabrał na widok nas żywych. [...] Kościół w Porycku opuścił wcześniej od nas i udało mu się dotrzeć do domu, kiedy jeszcze wszyscy żyli i byli bardzo zaniepokojeni, bo słyszeli strzały z Porycka i martwili się o nas. Brat zdążył tylko umyć się z krwi, którą był pobrudzony w kościele i zrelacjonować krótko, co się tam stało. Ojciec chciał zaraz jechać i nas szukać. Wyszedł z mieszkania, ale szybko wrócił, bo zauważył, że z daleka okrążają nasz dom Ukraińcy. Edzio wyskoczył z domu i udało mu się niepostrzeżenie przebiec drogą i wpaść do sąsiada. Wańka ukrył go na strychu domu. Ojciec kazał Mirci pójść do innego sąsiada, ale otaczający dom Ukraińcy zawrócili ją z powrotem. [...] W domu byli mój pięćdziesięciodwuletni ojciec, dziewiętnastoletni brat Zygmunt, sześciolatnia siostrzyczka Mircia i dziewięćdziesięcioletnia babcia. Najstarszy brat Romek przebywał wtedy we Włodzimierzu. Niemcy zatrudnili go na kolei i dzięki temu uniknął wywiezienia do Niemiec na roboty i ocalał od Ukraińców.

Morderców było kilku, ale jeden z nich wylosował, że będzie prowodyrem. Nazywał się Hylko Tchorek. Zgromadzili wszystkich w kuchni. Moja babcia zapytała, za co chcą ich zabić, przecież nic złego im nie zrobiliśmy. Usłyszała: „Mowczy, starucho” i Hylko uderzył ją w głowę kolbą karabinu. Babcia upadła, nastąpiły drgawki ciała i babcia wkrótce zmarła. Mircia strasznie się przestraszyła, zaczęła krzyczeć i płakać. Ojciec wziął ją na ręce, ale wtedy Hylko ją uderzył, wypadła ojcu z rąk, bardzo długo, co najmniej pół godziny, czołgała się po podłodze, zostawiając ślady krwi, i bardzo jęczała z bólu, zanim skończyła. Blizszych szczegółów

śmierci mojego brata Zygmunta ani mamie, ani mnie nie ujawniono, wiem tylko, że był torturowany i miał poucinane ręce. Wszystko to działo się na oczach mojego ojca, którego jeszcze jakiś czas pozostawiono przy życiu, bo trwały bezskuteczne poszukiwania mojego brata Edzia, którego zauważyli, jak wracał do domu. Ojciec zginął też uderzony kolbą karabinu, miał potwornie roztrzaskaną głowę, jego mózg obryzgał ścianę. Oprawcy po wyjściu z domu strzelali na wiwat. Po ich odejściu Edzio wraz z Wańką przekradli się do naszego domu i Edzio zobaczył straszny widok leżących pomordowanych.

Na stryszku leżało siano i w tym sianie Wańka urządził nam schronienie. Dach budynku pokryty był strzechą, więc zrobił otwór w dachu zatykany w razie deszczu taką samą wiązką słomy – to było miejsce na dopływ powietrza. Drugi otwór zrobił z boku podłogi, też zatykany wiązką słomy. Otworem tym dostarczał nam posiłki. Stukał w umówiony sposób, odtykaliśmy otwór, a on podawał nam cebrzyk, w którym przynosił jedzenie. Jeśli ktoś był w pobliżu, to mógł powiedzieć, że niesie jedzenie cielątka. W schowku tym była pościel, miska i wiadro na nieczystości, które Wańka codziennie opróżniał. Ukrywaliśmy się tam przez siedem tygodni. Codziennie dostawaliśmy posiłki i wodę do mycia się. Bardzo troskliwie się nami opiekowali. Obora stała blisko drogi, więc musieliśmy się bardzo cicho zachowywać. Nauczyliśmy się porozumiewać na migi, bezgłośnie kichać i poruszać się jak najciszej. Bardzo źle znosiliśmy brak ruchu czy choćby jakiegokolwiek innego widoku oprócz ścian z siana. Pomieszczenie było bardzo małe, szerokie na tyle, abyśmy się mogli położyć. Wańka zostawał z nami od czasu do czasu i przynosił nam różne nowiny. Jak minęło już trochę czasu od dnia masakry, mówił o nastrojach wśród starszych Ukraińców, którzy dowiedzieli się, że w innych miejscowościach sąsiedzi uprzedzili Polaków o planowanych przez banderowców działaniach, a nawet pomagali im w ucieczce. Bardzo żalowali, że wiedząc, co nas czeka, nie umożliwili nam ucieczki. Zastanawiali się, co stało się z mamą i ze mną, ponieważ nie było nas wśród zabitych w kościele. Mówili, że jeślibyśmy teraz wrócili do Zaskiewicz, pozwoliliby nam zamieszkać.

W tym czasie zaszło jeszcze inne groźne zdarzenie. Wańka wracał skądś miedzą przegradzającą nasze pole ubrany w granatowe ubranie. Ktoś zobaczył go z daleka i po wiosce gruchnęła plotka, że to szedł mój najstarszy brat. Pewnego popołudnia z wielkim przerażeniem usłyszeliśmy w naszej kryjówce przybliżające się kroki – ktoś skradał się, przystawał i znów się przybliżał, później zawrócił i odszedł. Opowiedzieliśmy o tym Wańce. Sprawdził i potwierdziło się – ktoś pozostawił widoczne ślady, doszedł do siana sięgającego po sam dach i zawrócił. Może przechodząc przez drogę, posłyszał podejrzanе odgłosy i postanowił sprawdzić. To przeraziło nie tylko nas, ale przede wszystkim Wańkę, przecież on narażał siebie i swoją rodzinę na śmierć, a oni mieli wtedy małego, kilkumiesięcznego synka Witę. Zaproponował nam, abyśmy się ujawnili ze zmyśloną wersją pobytu w innej miejscowości i pragnieniem powrotu do Zaskiewicz. Uzgodniliśmy datę naszego ujawnienia się i nocą opuściliśmy naszą kryjówkę. Moja mama zapukała do okna domu innych sąsiadów, Czernijów, i głośno opowiedziała, kim jest i skąd przychodzi. Usłyszała poruszenie się, ale nikt do okna nie podszedł. Postanowiła udać się do innego sąsiada, ale wtedy wyszła na podwórko sąsiadka. Okazało się, że sypialnię udostępniła na noc banderowcom, którzy przybyli do wsi i to oni wysłuchali wszystkiego.



Okolice Zaskewicz Nowych i

Porycka we fragmencie mapy

WiG, 1926 r. (z zasobu Biblioteki

Narodowej)

Nasze ujawnienie się wywołało we wsi wielkie poruszenie. Zajął się nami sołtys, zapytał, u kogo chwilowo chcielibyśmy się zatrzymać, zanim postanowimy, co dalej, więc mama odpowiedziała, że chciałaby najbliżej naszego domu. Zaprowadził nas do Wańki. Chcę nadmienić, że z powodu długiego milczenia nasze struny głosowe źle funkcjonowały, trudno nam było wydobyć głos i był on bardzo zmieniony. Sołtys zaproponował mamie, czy chciałaby pójść na grób swojej rodziny. Mama zabrała mnie i sołtys zaprowadził nas za naszą stodołę. Tam znajdował się ogród warzywny i tam mój ojciec wykopał dół na zielsko. Do tego dołu zawleczeni zostali wszyscy moi bliscy. Przyniesiono też ciało mojej stryjecznej siostry Wiktorii Żmudzkiej, córki Grzegorza, którą zabili na ścieżce bliżej naszego domu, więc nie chcieli robić sobie obiekcji, aby pochować ją z jej rodziną, zamordowaną w tym samym czasie. Moją stryjenkę Bronisławę Żmudzką, jej syna Stanisława i jego żonę Stefanię oraz ich dwóch synków Ukraińcy zarabali siekierami. Uklękaliśmy z mamą, aby zmówić modlitwę za zmarłych, a sołtys stanął za nami. Mama mówiła później, że nie mogła się skupić, bo miała wrażenie, że sołtys strzelił nam w plecy. Miejsce, gdzie zostali pochowani, zdążyło zarosnąć chwastami. Nasz dom, podwórko i zabudowania przedstawiały okropny widok. Ziało pustką i opuszczeniem.

Odbył się nad nami sąd i postanowiono nas zabić. Ponieważ kobiety nie zgodziły się na przelew krwi we wsi, postanowiono pod wieczór wywieźć nas do lasu i tam pozbawić życia. Wiadomość o tym przyniosła nam córka innego sąsiada, Nadia Matulko. Zaczęłam płakać i mówić, że nie chcę umierać. I ta Ukrainka bez słowa wybiegła nagle z mieszkania, gdzie przebywaliśmy. Siedzieliśmy i namyślaliśmy się, jak i gdzie uciekać, ale byliśmy w beznadziejnej sytuacji. Nawet zboże zwiezione już było z pól. Naraz jakaś fura zajechała z pośpiechem na podwórko i do domu wpadł Ukraińiec, teść mojego wujka Bolesława Palinko, młodszego brata mojej mamy. Ten Ukraińiec miał na nazwisko Szewczuk i mieszkał we wsi Bermeszów, odległej od Zaskewicz o siedem kilometrów. Miał trzy córki: Nataszę, Waselinę i Lisawietę, oraz syna Andrieja. Mój wujek ożenił się z najstarszą jego córką, Nataszą.

Teść wujka na swojej ziemi wybudował im mały domek i kuźnię – wujek był kowalem. To do Szewczuka pobiegła o ratunek dla nas ta młoda Ukrainka. Władował nas na wóz, Edzia przykrył słomą, na nas narzucił dwie chusty i wywiózł z wioski pełnej banderowców, pozdrawiając ich po drodze. Ukrył nas na strychu swojego

domu. Przebywaliśmy tam cztery tygodnie. Zajmował się nami wyłącznie wujek. Zostawili go przy życiu, bo był im potrzebny, za darmo musiał wykonywać wszystkie usługi kowalskie, jakie tylko sobie zażyczyli. Często był tak zajęty, że nie mógł nam dostarczyć pożywienia, więc niejedną raz w tym czasie byliśmy głodni. Córka Szewczuka, Waselina, była bardziej litościwa, czasem podrzucała nam owoce albo zabierała mnie do sadu, abym mogła pobyc na świeżym powietrzu i pobiegać. Natomiast młodsza córka, Lisawieta, była przeciwna przechowywaniu nas, robiła wymówki ojcu, mówiła, że „Lachy” jej przeszkadzają, a on krzyczał, aby milczała. Może to ona zdradziła o naszym istnieniu? Syn Szewczuka, Andriej, był pułkownikiem w sztabie banderowców i Szewczuk stanowczo oznajmił miejscowym młodym Ukraińcom, że o naszym losie zadecyduje osobiście sam Andriej. Dali mu o nas znać i oczekiwali jego przyjazdu. Ale było to tylko przedłużenie naszego życia. Nie zapobiegł w uśmierceniu mojego wujka – a swojego szwagra – którego Ukraińcy utopili w studni, jak już im nie był potrzebny. Nas też by nie ułaskawił.

Udało nam się cudem ocaleć

Wtedy dowiedzieliśmy się, że w pobliskim miasteczku Łokacze jest dużo Polaków, którzy się tam schronili i przy pomocy Niemców tam stacjonujących utworzyli samoobronę. Słyszeliśmy również, że głodują, objadają nawet korę z drzew. Pewnego dnia powstał w wiosce popłoch z powodu zbliżających się uzbrojonych Polaków. Wszyscy Ukraińcy poukrywali się, a my zeszliśmy ze strychu domu Szewczuka i udaliśmy się do domu wujka. Stanęliśmy przy oknie i czekaliśmy, co będzie. Zobaczyliśmy nadbiegającego młodzieńca z karabinem w rękę, mój brat Edzio go poznał. Pobiegliśmy z nim i dołączyliśmy się do większej grupy uzbrojonych Polaków. Mieli ze sobą wozy, zrobili wypad po żywność. Ten młodzieniec, który od nich się odłączył, chciał zabrać swoją krowę. Po drodze do Łokacz wybiegły do nas jeszcze dwie młode dziewczęta, które też przechowywali Ukraińcy. Wjechaliśmy do Łokacz, a tam – powiadomieni o odbiciu nas – obcy ludzie wyszli na ulicę i płakali, i ściskali nas z wielką radością. Do Łokacz schroniła się z całą rodziną moja ciocia, Feliksa Kaszuba, i z tą rodziną przebywaliśmy jakiś czas w Łokaczach. Zapadło postanowienie, aby przed zimą, ze względu na bezpieczeństwo i z powodu coraz większych trudności w zdobywaniu żywności, opuścić Łokacze i udać się do Włodzimierza, gdzie przebywało więcej Polaków i stacjonowało więcej Niemców. Trzeba było z wielkim strachem przejechać między Ukraińcami, aby dotrzeć do Włodzimierza. Ogromnym przeżyciem było nasze pierwsze spotkanie z moim bratem Romkiem. On żył ze świadomością, że wszyscy zginęliśmy. Takich chwil nie da się zapomnieć. To było połączenie dwóch różnych uczuć – wielkiej radości i wielkiej rozpacz.

We Włodzimierzu zabrała nas, to jest moją mamę i mnie, do swego domu gospodyni Romka, u której mieszkał i stołował się, kiedy był uczniem, i u której mieszkał nadal. Do Włodzimierza schronił się też mój brat stryjeczny Feliks wraz z rodziną i oni przyjęli Edzia. Umiałam robić na drutach, nauczyła mnie tego Adzia Żmudzka, żona mojego kuzyna. Ta umiejętność przydała mi się, jak przebywaliśmy we Włodzimierzu. Robiłam ludziom z wełny skarpety, szaliki i rękawice, zapłata były artykuły żywnościowe. Nie nacieszyliśmy się długo Romkiem. On również, jak inni młodzi ludzie, wstąpił do partyzantki. Umyślnie skaleczył się w rękę, dostał kilka dni zwolnienia lekarskiego i w tym czasie dołączył do partyzantów w lasach bielińskich. Nam groziło niebezpieczeństwo ze strony Niemców i na pewien czas musieliśmy się ukryć. Wywiózł nas z Włodzimierza do

miejsowości Spaszczyzna mój kuzyn Feliks dysponujący wozem i koniem.

Na rogate miasta zatrzymał nas patrol niemiecki. Niemiec wylegitymował kuzyna, przeprowadził rewizję w wozie i kazał jechać dalej. Jak dotarliśmy na miejsce, to zobaczyliśmy, że pod siedzeniem, na którym siedzieliśmy w wozie, ukryte były karabiny przeznaczone dla partyzantów. Mój kuzyn, mając ciężarną żonę i dwoje małych dzieci, ryzykował swoje życie, pomagając partyzantom. Gdyby ten Niemiec zrewidował wóz dokładniej, to lepiej nie myśleć, co nas czekało. Na Spaszczyźnie przyjęli nas do swego domu państwo Matuszyńscy i u nich od czasu do czasu odwiedzał nas mój brat. Tam też, mimo bliskości partyzantów, nie byliśmy zupełnie bezpieczni od Ukraińców. Nocami mężczyźni pełnili warty. Najstarszy syn mojej cioci Feliksy Kaszubowej, Kazimierz, był żonaty i prowadził gospodarstwo swojej żony. Gospodarstwo to znajdowało się na Lubelszczyźnie koło Krasnegostawu. Kaszubowie postanowili wyjechać z Włodzimierza do syna i zabrać nas ze sobą. Wróciliśmy ze Spaszczyzny do Włodzimierza, a była to już zima. Wraz z innymi ludźmi, którzy też zdecydowali się wyjechać, i bratem Edziem rozpoczęliśmy wędrówkę w nieznane. Rzekę Bug przekroczyliśmy mostem w miejscowości Uściług. I wtedy, na tym moście, ogarnął mnie ogromny smutek. Teraz wiem – to było przecucie, że już nigdy nie wrócę w moje rodzinne strony. [...]

I tak, w miarę moich umiejętności, starałam się opisać moje tragiczne przeżycia z dzieciństwa. Zdaję sobie sprawę, że nie udało mi się w pełni opisać tego, co przeżyłam od momentu wyjścia z domu 11 lipca 1943 r., do momentu, kiedy nie trzeba już było bać się Ukraińców. To był okres nieustającego strachu. Strachu nie tylko przed śmiercią, ale śmiercią zadawaną w okrutny, bestialski sposób. Oni byli dookoła nas i w każdej chwili groziło nam niebezpieczeństwo. Jeszcze przez kilka lat, kiedy już byłam bezpieczna, często budziłam się w nocy, bo miałam koszmarne sny. Starałam się też chociaż częściowo opisać czas, kiedy żyliśmy w strasznej biedzie po stracie w jednej chwili wszystkiego i kiedy pozbawieni zostaliśmy środków do życia. Udało nam się cudem ocaleć, ale tych przeżyć nie udało mi się zapomnieć.

* * *

Czuję się w obowiązku wspomnieć o losie mojej cioci, Julii Zalewskiej, siostry mojego ojca, i jej rodziny. Mieszkali kilka kilometrów od nas, w miejscowości Kołonna. Mieli czworo dzieci. Najstarsza ich córka, Helena, była mężatką i mieszkała we Włodzimierzu, ale na swoje nieszczęście wtedy, 11 lipca, odwiedziła rodziców. Wszyscy zginęli – zostali zarąbani siekierami. Ich młodszej córki, pięknej szesnastoletniej Jadwigi, nie było w domu, kiedy mordowana była rodzina – przebywała u koleżanki Ukrainki. Jak wracała do domu, koleżanka ją odprowadzała.

Kiedy weszły do sadu, zobaczyły, jak mordercy wnoszą w kawałkach całą jej rodzinę i wrzucają do dołu wykopanego w sadzie. Jadzia zaczęła uciekać, ale Ukraińcy dogonili ją i zaprowadzili nad grób. Jadzia poprosiła, aby pozwolili jej pomodlić się przed śmiercią. Gdy klęczała, Ukrainiec zamachnął się siekierą, ugodził ją i zwałił do dołu. Mordercy szybko zasypali dół ziemią i odeszli. Jej koleżanka przez całą noc nie mogła zasnąć, bo zdawało jej się, że Jadzia wzywa ją, aby ją odkopła. Rano poszła tam i zobaczyła, że ziemia nad grobem była wybrzuszona, miała rozstępy. Biedna Jadzia została zakopana żywcem, próbowała wydostać

się z grobu, ale nie dała rady. Opowiedziałam o tragicznym losie tej rodziny szczególnie ze względu na pamięć o mojej kuzynce Jadzi, której mordercy zgotowali tak straszną śmierć.

Źródło: Archiwum Ewy Siemaszko

Tekst pochodzi z numeru 7-8/2023 „Biuletynu IPN”, gdzie został opublikowany w ramach bloku *Ocaleni z ludobójstwa*

COFNIJ SIĘ